

Nazwisko BRZOSTEK

Imiona JANINA

Pseudonim

Z domu

Data urodzenia 12.4.1942 Miejscowość, kraj BLADINGTON

Data śmierci 24.12.2001 Miejscowość, kraj LONDYN

Lat życia 53

Adres cmentarza NORTH SHEEN

Źródła: 729.1.02 DP

Zawód Tytuły naukowe

Rodzaj wojska Stopień wojskowy

Odznaczenia

.....

.....

D.P. 7.I.2002

Ś.†P.

JANINA BRZOSTEK

urodzona 12 kwietnia 1948 r. w Diddington Cambs,
po długiej chorobie zmarła 24 grudnia 2001 r. w Londynie.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele
św. A. Boboli, 1 Leysfield Rd, London W12
w piątek 11 stycznia 2002 r. o godz. 10.40,
po czym nastąpi pogrzeb na cmentarzu North Sheen.

Ze smutkiem zawiadamiają

**RODZINA W POLSCE
GRONO PRZYJACIÓŁ W ANGLII**

1144

P.

BRZOSTEK

r. w Diddington Cambs,
grudnia 2001 r. w Londynie.

e odprawiona w kościele
eld Rd, London W12
002 r. o godz. 10.40,
a cmentarzu North Sheen.

zawiadamiają

**W POLSCE
CIÓŁ W ANGLII**

Zawód Tytuły naukowe
Rodzaj wojska Stopień wojskowy
Odznaczenia
.....
.....

to, że odmowa utworzenia sojuszy z pokona-
bardziej niebezpieczna niż ich tworzenie" –
na Traktat Wersalski, który do klęski Niemie-
ekonomiczne więzy, co doprowadziło do wy-
wej. „Traktując Rosję w dalszym ciągu jak
możemy zachęcić ją do tego, by tak właś-
twierdzi były sekretarz stanu. Jednocześnie
stwa, może przyczynić się do przyspieszenia
w tym kraju. Rosja nie spełnia kryteriów prz.
zastosowanych wobec Polski, Czech i Węgier
demokracji, wolnego rynku, poszanowania p
kontroli nad wojskiem i dobrych stosunków.
nak inny, według Bakera bardzo ważny war-
ściśle więzy bezpieczeństwa. Nie oznacza t
nich warunków, ale poważną dyskusję nad l
przed nowymi zagrożeniami. Rosja w tej dy
twierdzi amerykański polityk.

D.P. 8.1.2002

Ś. † P.

JANINA BRZOSTEK

urodzona 12 kwietnia 1948 r. w Diddington Cambs,
po długiej chorobie zmarła 24 grudnia 2001 r. w Londynie.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kościele
św. A. Boboli, 1 Leysfield Rd, London W12
w piątek 11 stycznia 2002 r. o godz. 10.40,
po czym nastąpi pogrzeb na cmentarzu North Sheen.

Ze smutkiem zawiadamiają

**RODZINA W POLSCE
GRONO PRZYJACIÓŁ W ANGLII**



Jasia urodziła się 12go kwietnia 1948 roku w Diddington, w obozie dla uchodźców, dokąd trafili jej rodzice po przyjeździe z Egiptu do Anglii. Rozpoczęła swe życie harcerskie pod koniec lat pięćdziesiątych jako zuch w londyńskiej gromadzie „Pszczółki”. Złotowłosa, niebieskooka, cichutka, grzecznutka, wyglądała bardziej na aniołka niż na pszczółkę. Ale gdzieś w głębi już tkwiła w niej pszczoła pracowitość i wytrwałość w dopięciu celu. Przeszła do drużyny harcerskiej Dunajec, potem do Willii, w hufcu Bałtyk, a później przez jakiś czas należała do specjalnego zastępu Żary, prowadzonego przez Irmę Paluch. Wszyscy pamiętają ją jako cichą, spokojną, trzymającą się na uboczu, nie narzucającą się nikomu, lecz zawsze chętną do pomocy. Cechowały ją sumienność, obowiązkowość, staranność, dokładność.

Ach, właśnie! Ta akuratność! Ta dokładność! Na zbiórkach zuchów budziła podziw ówczesnej drużynowej, Dany Poniatowskiej (obecnie Bogdanowicz), swym uważnym, starannym stylem rysowania. Kartka świąteczna i szopka zrobiona przez nią wypadły najładniej, najzgrabniej z całej gromady. Wanda Poniatowska (Sokołowska), wówczas hufcowa Bałtyku, do dziś wspomina jak placki smażone przez Jasię na konkursie złotowym upodobały się do ogromnych, równiutkich, złotych monet, w odróżnieniu do innych, które tak łatwo można było pomylić z kawałkami wulkanicznej lawy. Joasia Laskiewicz (Bernasińska) przysięga, że na obozie zawsze mogła rozpoznać gary szorowane przez Jasię. Obok tych które, pomimo najlepszych wysiłków gospodyń, od wewnątrz wydawały tajemnice poprzednich posiłków, a na zewnątrz za wszelką cenę nie chciały odstąpić pamiątek po dymie, garnki Jasi świeciły się na wszystkich płaszczyznach jak lustra, a podczas jej służby w kuchni całe bataliony bakterii na gwałt szukały sobie innego pomieszczenia. Nic więc dziwnego, że potem wybrała sobie zawód farmaceutki.

Życie swe poświęciła przede wszystkim rodzicom. Jak wiele z nas, szczególnie jedynaczek, których rodzice przeszli tragedię wywózki do Rosji, wciąż starała się w jakiś mglisty, półświadomy sposób jakby im wynagrodzić, zadośćuczynić, za nieludzkie przejścia wojenne. Któż by mógł przewidzieć, że wojna potrafi sięgnąć w przyszłość i dotknąć w tak bardzo pośredni i subtelny sposób nawet tych którzy jej nie widzieli? Gdy była jeszcze małą dziewczynką, pierwsza choroba matki zachmurzyła beztroskość jej młodych lat. Gdy dorosła i rozpoczęła pracę zawodową, została przy rodzicach, poświęcając im wiele czasu, wożąc na różne wycieczki, w odwiedziny do znajomych, na urlopy.

Gdy ojciec doznał udaru mózgu i leżał sparaliżowany w szpitalu, Jasia przez lata dbała o niego jak mogła, przywożąc ze szpitala i pielęgnując go sama w domu w każdy weekend. A jednocześnie musiała opiekować się matką, też już inwalidką z powodu artretyzmu. W dniu pogrzebu ojca, matka uchwyciła oddanie Jasi w paru słowach: - „Jako córka – zdała egzamin”. Zawisły one w powietrzu, zastygły w pamięci. A Jasia wciąż i nadal zdawała ten egzamin. Po śmierci ojca dbała o matkę przez następne dziesięć lat. I przez wszystkie te lata opieki nad rodzicami, te lata wyrzekania się młodocianych rozrywek, te lata, zdawałoby się, krępujące jej skrzydła i kurczące jej horyzonty, nigdy nie narzekała, nigdy się nie żaliła, nigdy się nie buntowała. Przyjmowała we opiekunkę obowiązki bez skarg. A przecież, choć mało kto o tym wiedział, jej własne życie już było zagrożone poważną chorobą.

Tuż po śmierci matki, kiedy, jak sama się zwierzyła, miała nadzieję trochę „poszaleć”, los, a może Ktoś, zarządził inaczej. Odezwała się właśnie u Jasi przytłoczona choroba, tym razem w formie bezlitosnej, w sposób wytyczający tylko jeden, nieubłagalny koniec. I przez ostatnie siedem lat nosiła ten ból przy sobie w sercu, nie skarząc się, nie żaląc, mało z kim się tym dzieląc. Nadal pomagała znajomym, pomagała rodzinie w Polsce, pomagała dawnym przyjaciółom rodziców. Sama o pomoc rzadko prosiła. Nie chciała nikomu sprawiać kłopotu. Starła się nadal pracować zawodowo, choć już tylko dorywczo.

Właśnie w tym ostatnim okresie, kiedy miała więcej czasu dla siebie, odnowiła swe więzy z harcerstwem. Można ją było spotkać na zebraniach, na pielgrzymkach harcerskich do Aylesford. I prawie dokładnie rok temu, na zbiórce na Dzień Myśli, podjęła się ostatniej swej pracy harcerskiej, przy administracji „Węzełka”. Podchodziła do tej pracy z do tego stopnia powagą, że chociaż chciała by wkład jej był anonimowy, nie dała się nakłonić do użycia pseudonimu. Z typową wytrwałością i dokładnością pracowała tygodniami i miesiącami nad ciągłym porządkowaniem ewidencji, składek, supelków, list grupowych, adresów. Sortowała, rozstrzygiwała, upominała, doglądała, woziła, dzwoniła, jeździła. Do Halinki Śledziewskiej, bo redaktorka, do Basi Kowalewskiej, bo sekretarka w GKH, do Krysi Januszajtis, bo skarbniczka, do Ewy (Jasińskiej) i Andrew Howardów, bo, mieszkając w okręgu środkowego Londynu, załatwiali odbiór worków kopert przez urząd pocztowy, do Wandy Sokołowskiej (Poniatowskiej), bo to jej komputer drukował - a czasami bez pardonu przekręcał - adresy. I tak jak lata temu było z rysunkami, plackami i garnkami, tak teraz żaden papierek nie sfrunął do kosza dopóki każdy szczegół nie był odnotowany, żaden adres nie śmiał stracić kodu pocztowego, żaden znaczek nie przykleił się na kopercie do góry nogami.

Poświęciła naszemu Węzełkowi wiele wysiłku i czasu. Czasu, którego tak mało jej zostało. I choć przez ostatnie miesiące brakowało jej sił, choć na oczach z dnia na dzień gasła, chciała jeszcze dociągnąć do numeru lutowego, tak żeby równo i dokładnie zaokrąglić i zakończyć pełny rok. Nie udało się. Osłabiona już mocno chorobą, zdała tę ostatnią swą pracę późną nocą, na ręce Teresy Ciecierskiej, zaledwie parę tygodni przed śmiercią.

Zabrał ją Pan Bóg w dzień szczególny. W dzień Wigilii. Odeszła od nas, jak żyła - cicho, bez szumu. Bez żalu, bez skargi.

Zosia Kamińska

